Diabeł ubiera się u Prady

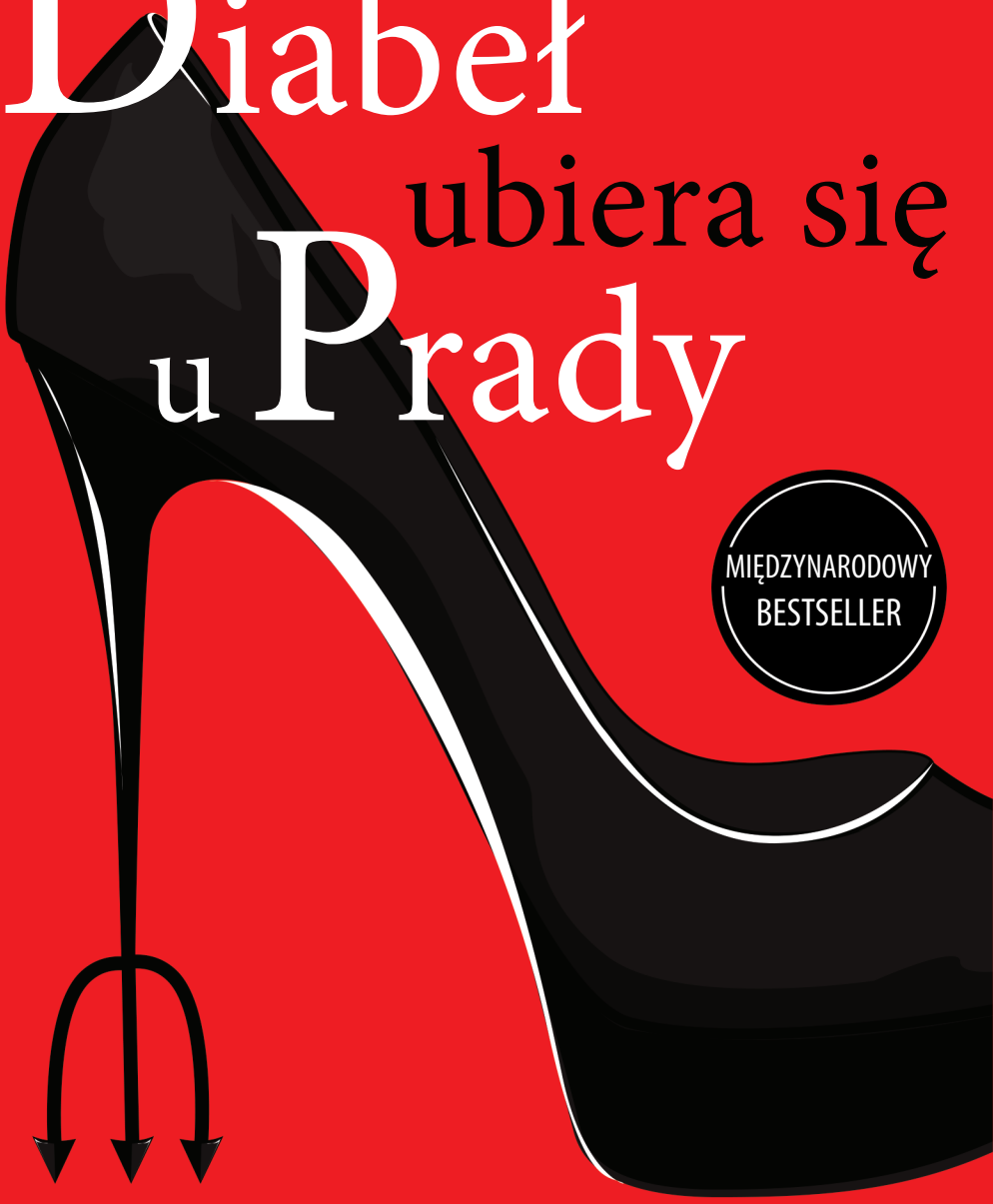

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

LAUREN WEISBERGER

Strzeżcie się wszelkich przedsięwzięć,
które wymagają nowej garderoby.
HENRY DAVID THOREAU, WALDEN, 1854

1

Światła na skrzyżowaniu Siedemnastej i Broadwayu jeszcze nie zdążyły zmienić się na zielone, gdy armia przesadnie pewnych siebie, żółtych taksówek z rykiem przemknęła obok maleństwa, będącego śmiertelną pułapką, które usiłowałam przeprowadzić przez ulice miasta. „Sprzęgło, bieg, gaz (z luzu na jedynkę? czy z pierwszego na drugi?), zwolnić sprzęgło" – powtarzałam w myślach jak mantrę, co dawało niewielką pociechę i jeszcze mniejsze wsparcie pośród ruchu ulicznego. Samochodzik wykonał dwa dzikie susy, zanim niepewnie opuścił skrzyżowanie. Serce podeszło mi do gardła. Niespodziewanie bryknięcia się skończyły i zaczęłam nabierać prędkości. Poważnej prędkości. Zerknęłam w dół, chcąc sprawdzić na własne oczy, że jadę dopiero na drugim biegu, ale tył taksówki w takim tempie wypełniał mi przednią szybę, że nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko wcisnąć stopę w pedał hamulca, na tyle mocno, by złamać obcas. Cholera! Kolejna para butów za siedemset dolarów padła ofiarą całkowitego i zupełnego braku gracji w chwilach napięcia: mogłam zapisać na swoje konto trzecią taką katastrofę w tym miesiącu. Gdy samochód znieruchomiał, przyjęłam to niemal z ulgą (najwyraźniej zapomniałam wcisnąć sprzęgło, kiedy hamując, usiłowałam ratować życie). Miałam kilka sekund – spokojnych, jeśli ktoś potrafiłby przeoczyć wściekłe trąbienie i rozmaite

formy słowa „spierdalać", którymi obrzucano mnie ze wszystkich stron – żeby ściągnąć pozbawione obcasa buty od Manola i rzucić je na siedzenie pasażera. Nie miałam o co wytrzeć spoconych rąk, chyba że w zamszowe spodnie od Gucciego, które obejmowały uda i biodra tak ciasno, że parę minut po dopięciu ostatniego guzika zaczynałam czuć mrowienie. Palce zostawiły mokre smugi na miękkim zamszu, spowijającym odrętwiałe uda. Próba prowadzenia tego wartego osiemdziesiąt cztery tysiące dolarów samochodu z otwieranym dachem i ręczną skrzynią biegów przez najeżone przeszkodami ulice śródmieścia w porze lunchu wymagała zapalenia papierosa.

– Rusz się, kurwa, kobieto! – wrzasnął ciemnoskóry kierowca. Włosy na jego klatce piersiowej usiłowały się wydostać spod podkoszulka bez rękawów, który miał na sobie. – Myślisz, że co to jest? Nauka jazdy? Zjeżdżaj stąd!

Podniosłam drżącą dłoń, żeby pokazać mu wyprostowany palec, a potem skupiłam uwagę na najbliższym zadaniu: wprowadzeniu w mój krwiobieg nikotyny najszybciej, jak tylko to możliwe. Ręce znów miałam wilgotne od potu, czego dowodem był fakt, że zapałki ciągle ześlizgiwały mi się na podłogę. Światło zmieniło się na zielone akurat wtedy, gdy zdołałam przytknąć ogień do końcówki papierosa i byłam zmuszona pozwolić mu zwisać z ust podczas prób uporania się z tymi zawiłościami: sprzęgło, bieg, gaz (z luzu na jedynkę? czy z pierwszego na drugi?), zwolnić sprzęgło z dymem unoszącym się z moich ust przy każdym oddechu. Przez kolejne trzy kwartały samochód poruszał się dość gładko, żebym mogła wyjąć papierosa z ust, ale już było za późno: ryzykownie długi słupek popiołu znalazł się dokładnie na plamie z potu na moich zamszowych spodniach od Gucciego. Zgroza. Jednak zanim zdążyłam się zastanowić, że licząc buty od Manola, zrujnowałam rzeczy warte trzy tysiące sto dolarów w niespełna trzy minuty, głośno

zajęczał mój telefon komórkowy. I zupełnie jakby samo życie nie było w tym konkretnym momencie dostatecznie upierdliwe, identyfikacja numeru potwierdziła moje najgorsze obawy: Ona. Miranda Priestly. Moja szefowa.

– Ahn-dre-ah! Ahn-dre-ah! Ahn-dre-ah, słyszysz mnie? – zawibrował jej głos w chwili, gdy z trzaskiem otworzyłam motorolę – niezły wyczyn, biorąc pod uwagę, że obie moje (bose) stopy i ręce usiłowały już podołać rozmaitym innym obowiązkom. Unieruchomiłam telefon między uchem a ramieniem i wyrzuciłam papierosa przez okno, gdzie prawie udało mu się trafić w posłańca na rowerze. Zanim wyrwał do przodu i zaczął lawirować wśród samochodów, wyrzucił z siebie kilka wysoce nieoryginalnych „spierdalaj".

– Tak, Mirando. Cześć, słyszę cię doskonale.

– Ahn-dre-ah, gdzie jest mój samochód? Odstawiłaś go już do garażu?

Światło przede mną szczęśliwie zmieniło się na czerwone i wyglądało na to, że zapowiada się dłuższy postój. Samochód stanął z szarpnięciem, nie uderzając w nikogo ani w nic, i odetchnęłam z ulgą.

– Jestem w tej chwili w samochodzie, Mirando, i powinnam dotrzeć do garażu za kilka minut. – Uznałam, że prawdopodobnie niepokoi się, czy wszystko dobrze idzie, więc zapewniłam ją, że jak na razie nie ma problemów i niedługo powinniśmy oboje być na miejscu w idealnym stanie.

– Mniejsza z tym – powiedziała szorstko, przerywając mi w pół zdania. – Zanim wrócisz do biura, masz odebrać Mitzy i podrzucić ją do mieszkania. – Klik. Telefon zamilkł. Wpatrywałam się w niego przez kilka sekund, zanim zdałam sobie sprawę, że rozłączyła się świadomie, ponieważ uznała, że podała mi wszystkie szczegóły, jakie powinnam znać. Mitzy. Kim, do cholery, jest Mitzy? Gdzie się w tej chwili znajduje? Czy wie, że mam ją odebrać? Czemu wraca do

mieszkania Mirandy? I czemu, na litość boską – biorąc pod uwagę, że Miranda zatrudnia kierowcę na pełen etat, gosposię i nianię – akurat ja mam to zrobić?

Pamiętając, że rozmowa przez telefon komórkowy podczas prowadzenia samochodu jest w Nowym Jorku zabroniona, i uznając, że ostatnie, czego mi w tej chwili potrzeba, to sprzeczka z jakimś nadgorliwym policjantem, zjechałam na pas dla autobusów i włączyłam światła awaryjne. Wdech, wydech, pouczyłam się, pamiętając nawet o zaciągnięciu hamulca ręcznego przed zdjęciem stopy ze zwykłego hamulca. Minęły całe lata, odkąd prowadziłam samochód z ręczną skrzynią biegów – dokładnie pięć, od kiedy mój chłopak z liceum zaoferował swój samochód na kilka lekcji, które mi zdecydowanie nie poszły – ale Miranda najwyraźniej nie brała tego pod uwagę, gdy wezwała mnie do swojego gabinetu półtorej godziny wcześniej.

– Ahn-dre-ah, trzeba odebrać stamtąd mój samochód i odstawić go do garażu. Zajmij się tym niezwłocznie, ponieważ będziemy go potrzebować dziś wieczorem, żeby pojechać do Hamptons. To wszystko. – Stałam jak wrośnięta w dywan przed jej potwornej wielkości biurkiem, ale już zdążyła całkowicie wymazać ze świadomości moją obecność. Albo tak mi się zdawało. – To wszystko, Ahn-dre-ah. Zajmij się tym niezwłocznie – dodała, nie patrząc na mnie.

Ee, jasne, Mirando, pomyślałam, gdy wychodziłam, próbując wykombinować, jaki będzie pierwszy krok przy realizacji zadania, które na pewno kryło w sobie milion pułapek. Po pierwsze, zdecydowanie należało dowiedzieć się, w jakim „stamtąd" znajdował się samochód. Najprawdopodobniej był w naprawie w warsztacie, ale oczywiście mogło to być w dowolnym z miliona salonów samochodowych w każdej z pięciu dzielnic. Albo może pożyczyła go któremuś z przyjaciół i aktualnie zajmował kosztowne miejsce w garażu z pełną obsługą serwisową gdzieś przy Park Avenue. Oczywiście

zawsze istniała możliwość, że jej wypowiedź dotyczyła nowego samochodu – marka nieznana – który dopiero co kupiła i jeszcze nie został sprowadzony do domu od (nieznanego) dilera. Miałam masę pracy.

Zaczęłam od telefonu do niani, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Następna na liście była gosposia i chociaż raz okazała się bardzo pomocna. Umiała mi powiedzieć, że samochód nie został świeżo nabyty i że chodziło o „zielony, sportowy angielski samochód wyścigowy z otwieranym dachem", który zwykle stał zaparkowany w garażu w budynku, gdzie mieszkała Miranda, ale nie miała pojęcia, co to za marka ani gdzie mógł się znajdować w chwili obecnej. Następna w spisie była asystentka męża Mirandy, która poinformowała mnie, że z tego, co jej wiadomo, para owa posiadała najdroższego z możliwych czarnego lincolna navigatora i jakieś małe, zielone porsche. Tak! Miałam pierwszy ślad. Jeden szybki telefon do dilera samochodów Porsche na Jedenastej Alei, między Dwudziestą Siódmą a Dwudziestą Ósmą Ulicą wyjaśnił, że owszem, właśnie skończyli poprawki lakieru i instalowanie nowego zmieniacza płyt kompaktowych w zielonym kabriolecie sarrera 4 dla pani Mirandy Priestly. Trafiony!

Zamówiłam samochód z Town Car, żeby zawiózł mnie do dilera, gdzie przedstawiłam notatkę ze sfałszowanym przez siebie podpisem Mirandy, z poleceniem wydania mi samochodu. Wyglądało na to, że nikogo nie obchodzi to, że w żaden sposób nie byłam spokrewniona z tą kobietą, że ktoś obcy zjawił się w warsztacie i zażądał cudzego porsche. Rzucili mi kluczyki i tylko się roześmiali, kiedy poprosiłam, by wycofali auto z warsztatu, ponieważ nie byłam pewna, czy dam sobie radę z ręczną skrzynią biegów na wstecznym. Przemieszczenie się o dziesięć kwartałów zajęło mi pół godziny i jeszcze nie wykombinowałam, gdzie ani jak zawrócić, żeby zmierzać w stronę mieszkaniowej części miasta, do miejsca

parkingowego w budynku Mirandy, opisanego przez jej gosposię. Szanse, żebym pokonała Siedemdziesiątą Szóstą i Piątą, nie uszkadzając poważnie siebie, samochodu, rowerzysty, pieszego lub innego pojazdu były zerowe, a ten nowy telefon nie przyczynił się do uspokojenia moich nerwów.

Raz jeszcze wykonałam telefoniczną rundkę, ale tym razem niania Mirandy odebrała po drugim sygnale.

– Cara, hej, to ja.

– Hej, co jest? Jesteś na ulicy? Strasznie u ciebie głośno.

– Taa, można tak powiedzieć. Musiałam odebrać porsche Mirandy z warsztatu. Tylko właściwie nie umiem prowadzić z ręczną skrzynią biegów. A teraz dzwoniła i chce, żebym odebrała kogoś imieniem Mitzy i podrzuciła ją do mieszkania. Kto to, do cholery, jest Mitzy i gdzie może być?

Cara śmiała się przez jakieś dziesięć minut, zanim powiedziała:

– Mitzy to ich szczeniak buldożka francuskiego i jest u weterynarza. Właśnie ją sterylizowali. Miałam ją odebrać, ale Miranda zadzwoniła i kazała mi wcześniej zabrać bliźniaczki ze szkoły, żeby wszyscy mogli pojechać do Hamptons.

– Żartujesz. Mam odebrać tym porsche pieprzonego psa? I się nie rozbić? To się w życiu nie uda.

– Jest w szpitalu dla zwierząt East Side na Pięćdziesiątej Drugiej, między Pierwszą a Drugą. Przykro mi, Andy, muszę teraz zabrać dziewczynki, ale dzwoń, gdybym mogła ci jakoś pomóc, okej?

Na wymanewrowanie zieloną bestią we właściwą stronę zużyłam ostatnie rezerwy zdolności koncentracji i kiedy dotarłam do Drugiej Alei, stres doprowadził moje ciało do ruiny. Gorzej już być nie może, pomyślałam, gdy kolejna taksówka znalazła się milimetry od tylnego zderzaka. Zadrapanie w dowolnym miejscu gwarantowałoby mi stratę pracy, to było oczywiste, ale mogłoby też kosztować mnie utratę życia. Ponieważ w środku dnia oczywiście nie

było tam żadnego miejsca do parkowania – dozwolonego ani innego – zadzwoniłam z samochodu do weterynarza i poprosiłam, żeby przyprowadzili Mitzy. Kilka minut później zjawiła się miła kobieta (czasu wystarczyło mi akurat na odebranie kolejnego telefonu od Mirandy, tym razem z pytaniem, dlaczego nie wróciłam jeszcze do biura) ze skomlącym, dyszącym szczeniakiem. Kobieta pokazała mi pozszywany brzuch Mitzy i kazała prowadzić bardzo, bardzo ostrożnie, ponieważ pies „odczuwa pewien dyskomfort". Jasne, paniusiu. Jadę bardzo, bardzo ostrożnie wyłącznie po to, żeby ocalić pracę, a może i życie – jeśli pies na tym skorzysta, to wspaniale.

Mitzy zwinęła się w kłębek na siedzeniu pasażera, a ja zapaliłam następnego papierosa i roztarłam zziębnięte bose stopy, żeby palce zdołały naciskać sprzęgło i pedał hamulca. „Sprzęgło, bieg, gaz, zwolnić sprzęgło" – recytowałam monotonnie, starając się nie zwracać uwagi na żałosne wycie psa za każdym razem, kiedy przyśpieszałam. W repertuarze miała płacz, skowyt i sapanie. Kiedy dotarłyśmy do budynku, w którym mieszkała Miranda, kundel był bliski histerii. Próbowałam ją pocieszyć, ale zdołała wyczuć moją niepewność – a poza tym, nie miałam wolnej ręki, którą mogłabym zaoferować uspokajające klepnięcie czy głaskanie. Po to przez cztery lata sporządzałam wykresy i przeprowadzałam rozbiór książek, sztuk, opowiadań i wierszy – żeby mieć okazję pocieszyć małego, białego, podobnego do nietoperza buldoga, jednocześnie starając się nie zrujnować cudzego bardzo, bardzo drogiego samochodu. Słodkie życie. Zawsze o czymś takim marzyłam.

Udało mi się obarczyć portiera Mirandy samochodem i psem bez dalszych przeszkód, ale kiedy wpełzłam do prowadzonego przez szofera samochodu z Town Car, który jeździł za mną po całym mieście, wciąż jeszcze trzęsły mi się ręce.

– Jedziemy z powrotem do Elias-Clark – powiedziałam z długim westchnieniem, gdy kierowca objechał kwartał i wjechał w Park

Avenue w kierunku południowym. Ponieważ pokonywałam tę trasę codziennie – czasami dwa razy – wiedziałam, że mam dokładnie sześć minut, żeby odetchnąć i wziąć się w garść, a może nawet wymyślić, w jaki sposób ukryć popiół i plamy z potu, które utrwaliły się na zamszu od Gucciego. Buty – cóż, to było beznadziejne, przynajmniej do czasu, gdy zdoła je naprawić armia szewców, których „Runway „zatrudniał z myślą o takich wypadkach. W rzeczywistości jazda skończyła się po czterech i pół minucie i nie miałam wyboru, musiałam pokuśtykać jak żyrafa z zawrotami głowy w moim komplecie obuwia składającym się z jednej płaskiej podeszwy i jednego dziesięciocentymetrowego obcasa. Krótki przystanek w Szafie zaowocował nowiutką parą sięgających do kolan butów od Jimmy'ego Choo w kolorze kasztanowym, świetnie wyglądających z miękką, skórzaną spódnicą, którą chwyciłam, rzucając zamszowe spodnie na stos „Pralnia Couture" (gdzie podstawowe ceny za czyszczenie zaczynały się od siedemdziesięciu pięciu dolarów za sztukę). Jedyne, co mi zostało do zrobienia, to krótka wizyta w dziale urody, gdzie jednej z redaktorek wystarczył rzut oka na moją poznaczoną strużkami potu twarz, żeby jednym ruchem wyciągnąć kuferek pełen przyborów do makijażu.

Nieźle, pomyślałam, spoglądając w jedno z wszechobecnych wielkich luster. Nikt by się nie domyślił, że ledwie parę minut temu byłam niebezpiecznie blisko myśli o zamordowaniu samej siebie i wszystkich w pobliżu. Pewnym krokiem weszłam do pokoju asystentek przed gabinetem Mirandy i cichutko zajęłam swoje miejsce, już się ciesząc na parę wolnych chwil, zanim ona wróci z lunchu.

– Ahn-dre-ah – zawołała ze swojego oszczędnie umeblowanego, rozmyślnie stwarzającego wrażenie chłodu gabinetu – gdzie są samochód i szczeniak?

Zerwałam się z miejsca i najszybciej jak to możliwe na dwunastocentymetrowych obcasach pobiegłam po pluszowym dywanie i stanęłam przed jej biurkiem.

– Samochód zostawiłam człowiekowi z obsługi garażu, a Mitzy u twojego portiera, Mirando – powiedziałam, dumna, że wypełniłam oba zadania, nie wykańczając samochodu, psa ani siebie.

– A czemuż miałabyś zrobić coś takiego? – warknęła, po raz pierwszy odkąd weszłam, podnosząc wzrok znad swojego egzemplarza „Women's Wear Daily". – Wyraźnie prosiłam, żebyś dostarczyła wszystko do biura, ponieważ dziewczynki będą tu lada chwila i musimy wyjść.

– Och, cóż, właściwie zdawało mi się, że powiedziałaś, że chcesz…

– Wystarczy. Szczegóły twojej niekompetencji interesują mnie w bardzo niewielkim stopniu. Weź samochód oraz szczeniaka i sprowadź je tutaj. Spodziewam się, że będziemy gotowe do wyjścia za piętnaście minut. Zrozumiano?

Piętnaście minut? Czy ta kobieta miała zwidy? Minutę lub dwie zajęłoby zejście na dół i wsiadanie do samochodu z Town Car, kolejne cztery lub sześć dostanie się do jej mieszkania, a potem, jak dla mnie, coś w okolicy trzech godzin na znalezienie szczeniaka w jej osiemnastopokojowym apartamencie, wydostanie wierzgającego potwora z ręczną skrzynią biegów z miejsca parkingowego i przejechanie dwudziestu kwartałów do biura.

– Oczywiście, Mirando. Piętnaście minut.

Zaczęłam się znowu trząść w chwili, gdy wybiegłam z jej gabinetu, zastanawiając się, czy moje serce mogłoby po prostu stanąć i poddać się w dojrzałym wieku lat dwudziestu trzech. Pierwszy papieros, którego zapaliłam, wylądował dokładnie na czubku moich nowych butów od Jimmy'ego, gdzie zamiast spaść na cement, tlił się odpowiednio długo, żeby wypalić małą, schludną dziurkę. „Pięknie – wymamrotałam – po prostu, kurwa, pięknie. Zapiszcie na mój rachunek równe cztery tysiące za zniszczone dzisiaj rzeczy – nowy rekord życiowy". Może umrze, zanim wrócę, pomyślałam,

dochodząc do wniosku, że teraz przyszedł moment, żeby poszukać w tym jasnej strony. Może, ale tylko może, mogłaby wyciągnąć nogi z powodu czegoś rzadkiego i egzotycznego i wszyscy zostalibyśmy uwolnieni od tego źródła naszych nieszczęść. Zaciągnęłam się ostatni raz przed przydeptaniem papierosa i nakazałam sobie myśleć racjonalnie. Nie chcesz, żeby umarła, pomyślałam, wyciągając się na tylnym siedzeniu. Ponieważ jeśli umrze, stracisz wszelką nadzieję, by zabić ją osobiście. A to rzeczywiście byłaby szkoda.

2

Kiedy pojechałam na pierwsze spotkanie w sprawie pracy i weszłam do jednej z niesławnych wind w Elias-Clark, tych transporterów wszystkiego, co modne, o niczym nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że najlepiej ustosunkowani autorzy pisujący do plotkarskich rubryk, prominentni członkowie modnego światka i osoby zajmujące wysokie stanowiska w mediach mają obsesję na punkcie nieskazitelnie umalowanych, ubranych i dobranych pasażerów tych posuwistych, cichych wind. Nigdy w życiu nie widziałam kobiet o tak olśniewających blond włosach, nie wiedziałam, że utrzymanie tych markowych pasemek kosztuje sześć tysięcy rocznie ani że inni zorientowani potrafili po szybkim rzucie oka na produkt finalny rozpoznać kolorystę. Nigdy w życiu nie miałam w zasięgu wzroku tak pięknych mężczyzn. Byli idealnie umięśnieni – nie za bardzo muskularni, ponieważ „to nie jest seksowne" – i demonstrowali swoją dozgonną wierność sali gimnastycznej w delikatnie prążkowanych golfach oraz obcisłych skórzanych spodniach. Torby i buty, jakich nigdy nie widziałam u zwykłych ludzi, każdym kawałkiem powierzchni krzyczały Prada! Armani! Versace! Słyszałam od przyjaciółki przyjaciółki – asystentki redakcyjnej w piśmie „Chic" – że w tych właśnie windach dodatkom od czasu do czasu

zdarzało się spotykać własnych twórców, wzruszające spotkania, gdzie Miuccia, Giorgio czy Donatella raz jeszcze mogli osobiście podziwiać swoje szpilki z lata dwa tysiące dwa czy torebkę łezkę z wiosennych pokazów *haute couture*. Wiedziałam, że moja sytuacja się zmienia, nie byłam tylko pewna, czy na lepsze.

Przez ostatnie dwadzieścia trzy lata, do chwili obecnej, stanowiłam uosobienie małomiasteczkowej Ameryki. Cała moja egzystencja była idealnie banalna. Dorastanie w Avon w stanie Connecticut oznaczało licealne sporty, spotkania grup młodzieżowych, „alkoholowe imprezy" w ładnych podmiejskich domach, kiedy rodzice dokądś wyjechali. Do szkoły nosiliśmy dresy, w sobotnie wieczory dżinsy, na półoficjalne tańce falbaniaste marszczenia. A college! Cóż, po liceum był to szczyt wyrafinowania. W Brown przewidziano niekończące się zajęcia, kursy i grupy dla artystów, nieprzystosowanych oraz komputerowych świrów wszelkich odmian, jakie można sobie wyobrazić. Dowolne zainteresowania intelektualne czy twórcze, które chciałam pielęgnować, bez względu na to jak są ezoteryczne czy niepopularne, mogły być realizowane w Brown w ten czy inny sposób. Światowa moda była chyba jedynym wyjątkiem od tej szeroko rozreklamowanej zasady. Cztery lata, podczas których plątałam się po Providence w polarze i sportowych butach, ucząc się o francuskich impresjonistach i pisząc nieznośnie rozwlekłe wypracowania z angielskiego, nie przygotowały mnie – w żaden możliwy sposób – do pierwszej pracy po studiach.

Skutecznie odkładałam jej podjęcie najdłużej, jak się dało. Pięć miesięcy od uzyskania dyplomu wydębiłam maksymalną – niezbyt pokaźną – ilość gotówki i wyruszyłam w samotną podróż. Przez miesiąc objechałam pociągiem Europę, znacznie więcej czasu spędzając na plażach niż w muzeach, i niezbyt się przykładałam do utrzymywania kontaktów z domem, nie licząc Alexa, mojego chłopaka od trzech lat. Alex wiedział, że po pięciu czy coś koło tego

tygodniach zaczynałam się czuć samotnie, a ponieważ właśnie skończył się jego kurs nauczycielski i miał kilka miesięcy wolnego przed przydziałem szkoły, zaskoczył mnie w Amsterdamie. W tamtym momencie miałam już za sobą większość Europy, a on odbył tę podróż poprzedniego lata, więc po niezbyt trzeźwym popołudniu w jednej z kafeterii zrobiliśmy zrzutkę i za nasze czeki podróżne kupiliśmy dwa bilety w jedną stronę do Bangkoku.

Razem przebiliśmy się przez większość południowo-wschodniej Azji, rzadko kiedy wydając więcej niż dziesięć dolarów na dzień, i obsesyjnie rozmawialiśmy o naszej przyszłości. Alex był taki podekscytowany rozpoczęciem pracy nauczyciela angielskiego w którejś z niedofinansowanych miejskich szkół, kompletnie owładnięty ideą kształtowania młodych umysłów i służenia wsparciem najbiedniejszym i najbardziej zaniedbanym, jak tylko on potrafił. Ja koniecznie chciałam znaleźć pracę na prasowym rynku wydawniczym. Chociaż wiedziałam, że zaraz po szkole mam bardzo mizerne szanse na zatrudnienie w „New Yorkerze", postanowiłam, że będę dla nich pisać jeszcze przed piątym zjazdem absolwentów. Zawsze o tym marzyłam, tak naprawdę nigdy nie chciałam pracować gdzie indziej. Pierwszy raz wzięłam „New Yorkera" do ręki, kiedy usłyszałam rodziców dyskutujących o artykule, który właśnie przeczytali, i mama powiedziała: „Ależ był świetnie napisany, takich rzeczy już się nie spotyka", a ojciec się z nią zgodził: „Bez dwóch zdań, to jedyna zręcznie napisana rzecz w dzisiejszym wydaniu". Uwielbiałam to. Kochałam zgryźliwe recenzje i dowcipne komiksy oraz uczucie przynależności do wyjątkowego klubu czytelników, dostępnego tylko dla członków. W ciągu ostatnich siedmiu lat przeczytałam każde wydanie i znałam na pamięć każdy dział, każdego redaktora i autora.

Rozmawialiśmy o tym, jak to oboje rozpoczynamy nowy etap w życiu i jakie mamy szczęście, że robimy to razem, jednak nie śpie-

szyło nam się z powrotem. Wyczuwając w jakiś sposób, że to ostatni okres spokoju przed przyszłym szaleństwem, przedłużyliśmy w Delhi wizy, żeby mieć kilka dodatkowych tygodni na zwiedzanie egzotycznej indyjskiej prowincji.

Cóż, nie ma to jak skromna czerwonka pełzakowa, żeby z pełną mocą sprowadzić człowieka z powrotem na ziemię. Wytrzymałam tydzień w ohydnym hinduskim schronisku młodzieżowym, błagając Alexa, żeby nie zostawiał mnie w tym piekielnym miejscu na pewną śmierć. Cztery dni później wylądowaliśmy w Newark, a moja zatrwożona matka ułożyła mnie na tylnym siedzeniu samochodu i cmokała nade mną całą drogę do domu. W pewien sposób było to spełnione marzenie żydowskiej matki, autentyczny powód do odwiedzania lekarza za lekarzem, żeby zyskać całkowitą pewność, że wszystkie parszywe pasożyty opuściły jej dziewczynkę. Minęły cztery tygodnie, zanim znów poczułam się jak człowiek, i kolejne dwa, nim zrozumiałam, że mieszkanie w domu jest nie do zniesienia. Mama i tato byli wspaniali, ale pytanie, dokąd idę za każdym razem, kiedy wychodziłam z domu – albo gdzie byłam przy każdym powrocie – dość szybko mi się osłuchało. Zadzwoniłam do Lily i zapytałam, czy mogłabym zwalić się na kanapę w jej maleńkiej kawalerce w Harlemie. W dobroci swego serca wyraziła zgodę.

*

Obudziłam się w tym maleńkim nowojorskim apartamencie mokra od potu. Głowa mi pulsowała; w brzuchu się przelewało; każdy nerw się trząsł – w bardzo nieseksowny sposób. Aj! Wróciło, pomyślałam, przerażona. Pasożyty jakimś sposobem odnalazły drogę do mojego ciała i byłam skazana na wieczne cierpienia! A jeżeli to coś gorszego? Może nabawiłam się rozwijającej się z opóźnieniem gorączki denga? Malarii? Może nawet złapałam wirusa Ebola? Leżałam w ciszy, próbując zmierzyć się z własną nadciąga-

jącą śmiercią, kiedy przypomniały mi się wyrywki ostatniej nocy. Zadymiony bar gdzieś w East Village. Coś, co nosi nazwę muzyki transowej. Ostry, różowy drink w szklance do martini – och, mdłości, och, niech to się skończy. Przyjaciele wpadający, żeby powitać mnie w domu. Toast, łyk, kolejny toast. Och, dzięki Bogu, to nie był rzadki szczep wirusa gorączki krwotocznej, tylko po prostu kac. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że skoro straciłam dziesięć kilogramów z powodu dyzenterii, nie jestem w stanie pić tyle co dawniej. Sto siedemdziesiąt siedem centymetrów i pięćdziesiąt siedem kilogramów niezbyt dobrze rokują forsownej nocy w knajpie (chociaż, patrząc na to z perspektywy, wręcz znakomicie, jeśli chodzi o znalezienie pracy w czasopiśmie poświęconym modzie).

Ledwie zwlokłam się z kulawej kanapy, na której koczowałam przez ostatni tydzień, i całą swoją energię skupiłam na tym, żeby się nie pochorować. Przystosowanie się do Ameryki – jedzenia, manier, znakomitych pryszniców – nie było specjalnie wyczerpujące, ale status gościa szybko stracił urok nowości. Zdałam sobie sprawę, że zostało mi gdzieś tak półtora tygodnia do chwili, gdy po wymianie resztek bahtów i szekli zostanę bez gotówki, a jedyną metodą na wyciągnięcie pieniędzy od rodziców był powrót do zamkniętego kręgu lekarskich konsultacji. Ta trzeźwiąca myśl była jedynym, co wypchnęło mnie z pościeli w stronę owego rozstrzygającego listopadowego dnia, kiedy to godzina dzieliła mnie od pierwszego spotkania w sprawie pracy. Przez poprzedni tydzień gnieździłam się na kanapie u Lily, wciąż słaba i wyczerpana, aż w końcu krzykiem zmusiła mnie, żebym codziennie dokądś wychodziła – chociaż na parę godzin. Nie mając koncepcji, co innego mogłabym ze sobą zrobić, kupiłam MetroCard i jeździłam metrem, apatycznie podrzucając gdzie bądź podania w sprawie pracy. U ochroniarzy we wszystkich dużych wydawnictwach prasowych zostawiłam papiery z niezbyt przekonującym listem przewodnim, wyjaśniającym, że chciałabym

zostać asystentką redakcyjną i nabrać trochę doświadczenia w pisaniu do gazet. Byłam zbyt słaba i zmęczona, żeby się przejmować, czy ktokolwiek rzeczywiście je przeczyta, i ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, było zaproszenie na rozmowę wstępną. A jednak dzień wcześniej zadzwonił telefon Lily i, zdumiewające, ktoś z działu zasobów ludzkich w Elias-Clark chciał, żebym przyszła na „pogawędkę"! Nie byłam pewna, czy należy to uznać za oficjalną rozmowę wstępną, czy nie, w każdym razie „pogawędka" wydawała się bardziej strawna.

Popiłam advil peptobismolem i zdołałam złożyć do kupy żakiet i spodnie, które do siebie nie pasowały i żadną miarą nie tworzyły garnituru, ale przynajmniej nie spadały z mojego wyniszczonego ciała. Stroju dopełniały niebieska koszula, umiarkowanie dziarski kucyk i para nieco przydeptanych butów na płaskim obcasie. Nic wspaniałego; właściwie wszystko to graniczyło z krańcową brzydotą, ale musiało wystarczyć. Pamiętam, że pomyślałam: Nie zatrudnią mnie ani nie odrzucą wyłącznie na podstawie stroju. W oczywisty sposób nie wykazałam się specjalną przenikliwością.

Zjawiłam się na czas, żeby zdążyć na rozmowę o jedenastej, i nie panikowałam aż do chwili, gdy natknęłam się na kolejkę długonogich, szczupłych dziewczyn, czekających na pozwolenie zajęcia miejsc w windach. (Te windy!). Wdech, wydech, przypomniałam sobie. Nie wyrzucą cię. Nie wyrzucą cię. Jesteś tu tylko po to, żeby porozmawiać o posadzie asystentki redakcyjnej, a potem wracasz prosto na kanapę. Nie zwymiotujesz. Ależ tak, marzę o pracy w „Reaction"! Cóż, oczywiście, przypuszczam, że „Buzz" byłoby odpowiednie. Och, co takiego? Mogę sama wybrać? Cóż, muszę przez noc dokonać wyboru między propozycją waszą a „Maison Vous". Znakomicie!

Chwilę później paraduję z niezbyt zgrabną plakietką „gość" na moim niezbyt zgrabnym pseudogarniturze (zdecydowanie póź-

niej odkryłam, że obeznani w sytuacji goście po prostu wkładają te przepustki do torby albo nawet lepiej, od razu wyrzucają – tylko najbardziej ślamazarne pierdoły faktycznie je noszą) i zmierzam w stronę wind. A potem… wsiadam. W górę, w górę, wysoko do nieba, pędzę przez czas, przestrzeń i nieskończoną seksowność w drodze do… działu personalnego.

Podczas tej szybkiej, cichej jazdy pozwoliłam sobie na chwilę czy dwie odprężenia. Mocne, wywołujące grymas perfumy zmieszane z zapachem nowej skóry potrafiły zmienić te windy z zaledwie funkcjonalnych w prawie erotyczne. Jak strzała przemknęliśmy między piętrami, zatrzymując się, żeby wypuścić piękności z „Chic", „Mantry", „Buzz" i „Coquette". Drzwi otwierały się cicho, z szacunkiem, na idealnie białe pomieszczenia recepcji. Szykowne meble o czystych, prostych liniach prowokowały, żeby na nich usiąść, gotowe krzyknąć w śmiertelnej męce, gdyby ktoś coś – zgroza! – rozlał. Nazwy czasopism wypisane grubą, czarną, rozpoznawalną i niepowtarzalną czcionką widniały na bocznych ścianach holu. Grube, matowe drzwi chroniły poszczególne redakcje. Są to nazwy, które przeciętny Amerykanin rozpoznaje, ale nigdy nie przychodzi mu na myśl, że ich tryby obracają się, kręcą i wirują pod jednym i tym samym, bardzo wysoko umieszczonym dachem.

Nie ukrywałam, że moim największym osiągnięciem zawodowym była praca przy nakładaniu mrożonego jogurtu, ale od przyjaciół, którzy świeżo wkroczyli na drogę kariery, słyszałam dość opowieści, by wiedzieć, że życie korporacji po prostu tak nie wygląda. Nawet w przybliżeniu. Brakowało mdlących jarzeniowych świateł, niebrudzących się wykładzin. Tam gdzie powinny były zasiadać fatalnie ubrane sekretarki, rezydowały wytworne młode dziewczyny o wydatnych kościach policzkowych, ubrane w rzucające na kolana garnitury. Sprzęt biurowy nie istniał! Podstawowe wyposażenie w rodzaju notatników, koszy na śmieci i skoroszytów było po pro-

stu nieobecne. Obejrzałam sześć pięter znikających w wirze białej perfekcji, zanim wyczułam jad i usłyszałam ten głos.

– Co. Za. Suka! Nie mogę dłużej się z nią użerać. Kto robi coś takiego? To znaczy serio. KTO ROBI COŚ TAKIEGO? – zasyczała dwudziestoparoletnia dziewczyna w spódnicy z wężowej skórki i bardzo minimalnym topie na ramiączkach, który to strój byłby bardziej stosowny na gorącą noc w Lotusie niż (zimowy!) dzień w biurze.

– Wiem. Wieeeeem. Znaczy, jak myślisz, co musiałam znosić przez ostatnie sześć miesięcy? Stuprocentowa suka. I do tego potworny gust – zgodziła się jej przyjaciółka, empatycznie potrząsając cudowną, krótką fryzurką.

Łaska boska, że dotarłam na swoje piętro i drzwi windy rozsunęły się na oścież. Ciekawe, pomyślałam. Gdyby porównać to potencjalne środowisko pracy z przeciętnym dniem z życia gimnazjalistki, które podlega ścisłemu podziałowi klanowemu, mogłoby nawet wypaść korzystnie. Stymulujące? Cóż, może nie. Miłe, słodkie, kształcące? Nie, niezupełnie. Miejsce, w którym po prostu chce ci się z uśmiechem wykonywać dobrą robotę? Nie, okej? Nie! Ale jeżeli szukasz czegoś szybkiego, chudego, wyrafinowanego, niesamowicie na czasie i tak stylowego, że aż ściska w dołku, Elias-Clark jest twoją mekką.

Wspaniała biżuteria i nieskazitelny makijaż recepcjonistki z działu personalnego w żaden sposób nie rozproszył mojego przemożnego wrażenia nieprzystawalności. Kazała mi usiąść i „swobodnie sięgnąć po któryś z naszych tytułów". Zamiast się tym zająć, jak szalona usiłowałam zapamiętać nazwiska redaktorów naczelnych wszystkich wydawanych przez firmę tytułów – jakby rzeczywiście mieli mnie z nich przepytać. Ha! Znałam już Stephena Alexandra, oczywiście, z „Reaction", i nietrudno było zapamiętać Michela Tannera z „Buzza". Zresztą były to jedyne ciekawe tytuły z tego, co wydawali, oceniłam. Poradzę sobie.